



Jerzy Korczak

POMIĘDZY BITWAMI*)

Pierwszy w stronę tego obejścia ruszył Felek golibroda. Śmiało pchnął furtkę, rozejrzał się po zapuszczonym ogrodzie, kopnął kawał jakiegoś żelastwa, które potoczyło się z brzękiem pod samą podmurówkę z surowej cegły. Reszta, jak zwykle, stała na drodze, kurząc, podgadując i patrząc niespokojnie w stronę ośnieżonego młodniaka, gdzie zniknął porucznik.

Przed kilku minutami dowódca plutonu dał rozkaz zatrzymania się, a sam ruszył na krótką odprawę dla omówienia dalszej marszruty. — Tylko mi się nie rozlać, tylko nie łazikować po domach, przykazał na odchodnym.

Była to jedna z tych krótkich chwil przerwy pomiędzy bitwą, a marszem, wolno było palić, wolno było do syta się nagać, byle tylko w kupie, byle się nie oddalać od drogi, bo zaraz mógł paść rozkaz, żeby iść dalej. Ale ludzka natura jest przekorna, powęszyć w cudzym dobytku, położyć głowę na opustoszałych mieszkaniach, podjąć z dziełko ze szkopskiego koryta, wszystko to kusiło ludzi, zawsze łasych nowych wrażeń. I na nie dawała się pewność, że Niemiec niczego cenniego nie zostawia, że tu i ówdzie czają się na strychach gołębiarze, a jeszcze gdzieś indziej dywersanci trują studnie. Pomimo twardych zakazów i złych doświadczeń jakoś lichy pętało ludziom wolę i rozum.

— Jak nie wolno, to nie wolno, pomrukiwał sykiłwie Anzelm, zwany „Szkatulą”, z racji wystającej łopatki, która upodabiała go do garbusa; słowa te miały bardziej przekonać jego samego niż resztę — zanim wymruczał zdanie do końca, już zawisłował krzywym ramieniem i przesuwając pepeszkę do przodu ruszył za golibrodą.

— Czego szukacie, ciule zatracone, starych gaci, majtek, dziurawego prześcieradła? — usiłował przedkładać Ludwik Skupień, stateczny flegmatyk z Nowogrodka, którego śpiewny głos głużyło teraz dzwoniące menażek i mlaskanie zapadających się w błocie buciorów. — Jeszcze się doigracie guza!

— Cichajta, stary, — odburknął ktoś z nieskładnej gromady, która rozpełzła się po ogrodzie. Pod nagimi konarami drzew poniewierali się szczytki czegoś, co kiedyś było dobytkiem: głowa lalki z różowego celuloitu, jakiś łach bez guzików, rozpruta pierzyna pozbawiona bechów, które ciągle jeszcze fruwały w powietrzu jak nasiona dmu-

*) Z tomu opowiadań, który ukaże się nakładem Wydawnictwa MON.

4 PAŹDZIERNIKA 1964 R.

Coś mi się wydaje, że wpadłem. No, bo przecież przyjęto mnie na stanowisko magazyniera magazynu śrub, a potem nagle zapadła decyzja:

— Będzie pan jeszcze przewozić śruby do sklepów zaopatrywanych przez naszą spółdzielnię.

— Dlaczego? — spytałem.

— Siła wyższa — brak nam konwojentów.

Tłumaczyłem, że nie dam rady. Puścili to mimo uszu. Tak więc jestem konwojentem i magazynierem, któremu nie przydzielono do pomocy nawet jednego pracownika magazynowego. A magazyn duży...

6 PAŹDZIERNIKA

Magazyn nie tylko duży. Nie tylko wiele różnych gatunków śrub. Najgorsze, że chociaż jestem jedyną osobą materialnie odpowiedzialną za towar w moim magazynie, to jednak dostęp do niego mają również inne osoby. W jednym budynku znajdują się bowiem dwa magazyny — śrub i chemiczny. Magazynier tego ostatniego i jego pomocnicy, oczywiście także podczas mojej nieobecności, pracują tuż obok moich śrub.

Z pewnością jest to sytuacja anormalna. Próbowałem dowiedzieć się, czy nie można by wyodrębnić magazynu śrub od chemicznego (postawienie ścian działowej, wybiecie dodatkowych drzwi itp.).

— Można by, ale nie warto — odpowiedziano. — Nie byłoby to ekonomicznie uzasadnione, ponieważ budujemy już nowe magazyny.

Niby racja, ale gdyby tak wyskoczyło manko to czy szef uwzględniłby fakt, że moje warunki pracy byłyby anormalne?

20 LISTOPADA

Coraz „lepiej”. Zachorowała fakturzystka i otrzymałem polecenie:

— Tym odbiorcom, którzy kupują śruby za dowodami „magazyn wy-

chawca. Z szarych, rozłupanych pociskami tynków straszyla ogromna postać czerwonoarmisty dobijającego bagnetem niewinne niemieckie kobiety. A pod spodem napis: Naprzód przez błota! Naprzód przez śniegi! Naprzód w dzień! Naprzód w nocy! Naprzód, aby oswobodzić niemiecką ziemię!

Klej pod plakatem był całkiem świeży, widać gospodarze musieli stąd zwinąć krótko przed nim. Potwierdził to także okrzyk Felka, który zanim wlaź na oszkloną werandę pociągnął czujnie swym kostropatym nochem:

— Widzi mi się, że ruszta w kuchni jeszcze nie ostygła. Zapach jakiś szczególny, indyk, nie indyk... A swoją drogą żyli tu sobie niezgorzej, pokoje na górze, pokoje na dole... — Chciał właśnie zacząć zwiedzanie, gdy w korytarzu pod lustrem obłożonym bibelotami zobaczył kasę pancerną. — Ano, dawajcie tu Mańka, skaranie boskie, znowu kasa, stwierdził, stukając zagiętym paluchem o grube żelastwo.

Ale małego Mańka Walczaka nie trzeba było wolać, wyrósł jakby z pod ziemi i stał w milczeniu przed kasą, głuchy na żarty i przygady. Jakby jakaś niewidzialna siła nie pozwalała mu ruszyć się z miejsca. Tkwił tak wpatrzony przed siebie, marząc, że w przepastnym wnętrzu kasy spoczywają może tym razem naprawdę skarby. Że się raz nie udało — o niczym jeszcze nie świadczy. W jednej chwili małeńki szewczyzna z Kołomyi zdawał się zapomnieć o złej sławie, którą przy sporzycie mu właśnie takie przekleństwo, wytasowane z jakiegoś partyjnego lokalu w Jastrowie. Wpakowali ją z krajanem, taborytą Ba-

Dokończenie na str. 2

Michał Łuczak

Pamiętnik magazyniera

da”, niech pan daje towar bez faktur.

Cóż było robić? Zgodziłem się.

Po kilku dniach fakturzystka wróciła do pracy. Wiem, że nadrobiła zaległości. Czy mogę mieć jednak całkowitą pewność, że nie pominęła żadnych dowodów wydania i że wszyscy odbiorcy zostali obciążeni odebraniem z magazynu towaram? Nie dałbym za to głowy.

10 STYCZNIA 1965 R.

Z wielkim zdumieniem przyjąłem wiadomość, że od kilku dni bieżące dostawy śrub kierowane są nie do mego magazynu przy ul. Malinowej, lecz na ulicę Leopolda, gdzie znajdują się nowo zbudowane pomieszczenia naszej spółdzielni. Natychmiast tam pojechałem. Wróciłem kompletnie zalamany. Okazało się bowiem, że pomieszczenie, w którym ma być magazyn śrub, jest zajęte przez mieszalnię pasz. W związku z tym mój towar składowany jest na rampie. Bez jakiegokolwiek zabezpieczenia przed kradzieżą. Każdy kto chce może nie tylko spokojnie brać, ale również wybrać sobie najbardziej mu odpowiadające rodzaje śrub.

Stwierdziłem, że szkoda czasu, by dyskutować na ten temat ze zwierchnikami, gdy od nich usłyszałem:

— Tam, na Leopolda macie osobiście odbierać śruby...

Z Malinowej na Leopolda będzie 5 kilometrów. Auto jest dla mnie niedostępne. Jeśli więc codziennie będę robił takie marsze, to kto mnie zastąpi w magazynie przy ul. Malinowej? A poza tym — rzecz najważniejsza — co z tego, że odbiorę

towar na Leopolda, skoro leżeć tam będzie bez zabezpieczenia.

2 MARCA

Dzisiaj otrzymałem polecenie, by śruby wyładowywane przy ul. Leopolda przychodzić do mego magazynu.

— Ani myślę — odpowiedziałem. Nie mam możliwości sprawdzenia i przeliczenia towaru, który tam się zwał.

— Eee, nie zwracajcie głowy... — padła odpowiedź.

Śruby zostały przychodowane.

7 CZERWCA

Zapadła decyzja o przeniesieniu magazynu śrub do pomieszczenia przy ul. Leopolda (a już od stycznia kierowane tam były bieżące dostawy). Ale i ta decyzja jest, moim zdaniem, przedwczesna. Do nowego magazynu znów mają bowiem dostęp tzw. trzecie osoby (niezabezpieczone są przejścia z mieszalni pasz). Brak natomiast przegród i regałów, co uniemożliwia rozdział poszczególnych gatunków śrub. Ale kto będzie zwał na mój sprzeciw?

8 CZERWCA

W związku z nieprzystosowaniem pomieszczeń przy ul. Leopolda do celów magazynowych, koniecznością byłoby dokonanie, przed przeprowadzką, inwentury zdawczo-odbiorczej. Remanent nie został jednak zarządzony.

10 CZERWCA

Przeprowadzka. Nie dostałem odpowiedniej pomocy. Namyśliłem się więc niesamowicie, a efekt żałosny: cały towar został zwałony na kupe.

5 LIPCA

Powstał chaos, w którym i diabeł by się nie rozeznał. Prośba o inwenturę została żałowiona odmownie.

Mam za sobą wiele dni strasznej mordęgi przy porządkowaniu magazynu. Mimo tego rezultaty są mizerne. Wprawdzie sporą część śrub poseregowałem, ale kosztem poważnych zaległości w dokumentacji. Dochodzę do wniosku, że nie jestem w stanie — jak to się mówi — wyprawać magazynu.

14 WRZEŚNIA

Inwentura. Z góry nastawiam się na najgorsze.

16 WRZEŚNIA 1965 R.

150.000 zł manka. Dobrze, że tylko 150.000. Mogło być znacznie więcej...

*

Tak mniej więcej wyglądałyby pamiętnik magazyniera pewnej spółdzielni, gdyby magazynier ten (nazwijmy go Iksińskim) zwykł utrwalać na piśmie swoje przeżycia. Nie miał takiego zwyczaju. Tarapaty magazyniera zostały więc utrwalone jedynie w aktach Prokuratury Poznania. Umorzyła ona w lipcu ub. roku śledztwo przeciwko Iksińskiemu wobec braku dostatecznych dowodów jego winy. Oskarżyciel publiczny stanął na słusznym stanowisku, że Iksińskiemu nie stworzono należytych warunków pracy. W związku z tym wystosował profilaktyczne wystąpienie do władz spółdzielni, zwracając uwagę na opisane wyżej kardynalne mankamenty w ochronie społecznego mienia i organizacji pracy.

Mówi Zygmunt Broniarek

— polski korespondent w USA:

— Co robi korespondent obcej gazety w wielkim centrum polityki światowej, jakim jest Waszyngton?

— Chce pani usłyszeć, że patrzy i opisuje to, co widzi i słyszy. Otóż nie całkiem tak. Pisanie zajmuje mi minimalną część czasu, jaki poświęcam na...

— „patrzanie, szukanie, „niuchanie”, czyli na robienie tego, co w języku dziennikarskim ma nazwę „zdybywanie materiału”, tak?

— Nie. Czas mi schodzi na wertowaniu ogromnych ksiąg po trzy, cztery tysiące stron każda. Ta robota zajmuje mi około sześciu godzin dziennie.

— Chce pani zapewne wiedzieć, co to za dzieła. Więc, na przykład, cztery tomy przesłuchań obrad kongresowych na temat monopolizacji gospodarki w USA; dalej, przesłuchanie budżetowe Pentagonu...

— Co to panu daje?

— Wiadomości, których nie zdobyłbym inną drogą. Waszyngton ma świetnie zorganizowaną sieć informacji; i przez dobrze robione serwisy agencji prasowych, i przez dużą ilość wyczerpujących konferencji, na które mają dostęp akredytowani dziennikarze. Ale ten typ wiadomości dostępny jest niemal każdemu. Natomiast przez dokładne wertowanie tomów sprawozdań wyłwiam informacje oryginalne...

— A jak przedstawia się zdobywanie informacji prasowych nie via słowo pisane, tylko drogą kontaktu osobistego, z ust do ust? Czy to trudna droga?

— I tak i nie. Na ogół Amerykanie są otwarci i precyzyjni w sformułowaniach. Już przy pierwszym zetk-

nięciu, przy prezentacji, obok nazwiska podają zawód. To ułatwia rozmowę.

— Czy zawsze?

— Przeważnie. Nawet w wypadku, gdy obok nazwiska podają enigmatycznie: „Pracuję dla rządu”.

— Cóż to znaczy?

— Że dana osoba jest agentem CIA (amerykańska służba wywiadowcza przyp. red.) i nie należy jej wówczas pytać o sprezywanie funkcji.

— Myśle!

— Ale nie jest to jedyne utrud-

nie przy zdobywaniu materiału drogą kontaktu osobistego. Zna pani określenie: „łanie wody”? Otóż środowisko waszyngtońskie, bardzo wyrobione politycznie, posiada tę umiejętność rozwiniętą w wysokim stopniu. Mówią dużo i chętnie, ale często są to komunały. Przy tym dodatkowa trudność — wszyscy są bardzo zajęci. Naprawdę dużo pracują i na kontakty towarzyskie niewiele mają czasu. No i nie zawsze chcą go poświęcić mnie, czerwonemu dziennikarzowi.

— Ale po tym, co pan powiedział, wyniosłowałam, że pan sam też jest

Jak zdobynam informacje

bardzo zajęty. Obecność na rozlicznych konferencjach, wertowanie sprawozdań z posiedzeń, na których nie mógł pan być... Kiedy pan robi tak zwany reportaż z terenu?

— Rzadko, choć bardzo go lubię. Z temperamentu jestem reportażystą. Taki wyjazd w teren, to zawsze dla mnie relaks, oderwanie od bardzo uregulowanego trybu życia, jakie prowadzi w Waszyngtonie.

— Jak pan dobiera tematy?

— Różnie. Ameryka jest kopalnią tematów. Ale staram się i tu nie chadzać utartymi drogami. Na przykład jadę do Chicago i zdawałoby się, powinienem pisać o przemysle mięsnym lub Polakach. A piszę o Niemcach. Jest ich tam bardzo dużo, obok Polaków, i to na kluczowych stanowiskach. Albo jadę do Kalifornii. Cóż, Kalifornia to przemysł filmowy. A udaje mi się zdobyć temat o lewicowym ruchu zbieraczy winogron, zorganizowanym na modłę europejskich związków zawodowych. Takie tematy — niespodzianki można napotkać na miejscu, gdy się ma oczy i uszy otwarte.

— Kiedy pan wraca do Ameryki?

— Wkrótce niestety.

— Dlaczego niestety?

— Bo wracam do uregulowanej pracy. A tu jestem jakby na reportażu z terenu.

— I jeszcze jedno... Siedzi pan już w USA od kilku dobrych lat, prawda? Czy mówi już pan po angielsku jak rodowity Amerykanin?

— Czy mówię? Widzi pani, gdy tam jechałem, znałem język już biegle. Mówiłem płynnie i rozumiałem, co do mnie mówiono. Tylko nie rozumiałem, co Amerykanie mówią między sobą. Teraz rozumiem. To chyba bardzo przydatna umiejętność dla obcego korespondenta.

Rozmawiała:

EWA BERBERYUSZ

Mieczysław Skąpski

Nowe opowiadania Koguta

nej retrospekcją, przy czym zadziwia łatwość, z jaką autor przechodzi z jednej relacji do drugiej, ze współczesności do przeszłości. Robi to bez przygotowania, jakoś niemal niezauważalnie, lekko, bezboleśnie. Kogut pisze jedrnie, treściwie, wyraźnie nie lubi gadulstwa, rozwadniania spraw, kreśli sylwetki ludzkie grubą kreską, skrótowo, choć wyraziście. Często odwołuje się do czasów wojny i okupacji, ukazując ich wpływ na współczesne losy bohaterów.

Tematyka opowiadań jest bardzo różnorodna. „Inkluzowy kuferek” pokazuje starego, niepotrzebnego już nikomu dziadka, uwikłanego w konflikty dzieci i wnuków, ginącego podczas rozpaczywej próby rozwiązania nabrzmiałego problemu rodzinnego. Jego zmartwienie o losy potomstwa jest doprawdy

wzruszające. „Cacko gospodarka”, to rzecz o przejmowaniu gospodarstw ponemieckich. Jednakże odwrotnie, niż to się tradycyjnie w literaturze przyjęło, Kogut udowadnia, jak problemiem ziemi, własnego gospodarstwa schodzi na daleki plan wobec losu najbliższych ludzi, wobec spraw natury osobistej, uczuciowej. Podobnie w opowiadaniu „Pożar”, bohaterka za-nic sobie ma „kanadyjską” fermę, komfort i wygodę wobec braku wymarzonego mężczyzny.

„Śliczna dziewczyna” przynosi krótki, przejmujący monolog kaleki, wygłoszony do głuchoniemej. „Zaduszki” traktują o niebezpieczeństwach indywidualnej interwencji w wypadki, zachodzące w miejscu publicznym. „Pies i człowiek” — to może najlepsze opowiadanie tomu. Autor, sam namiętny my-

śliwy, daje tu świetny opis ostatniego polowania człowieka, który kończy samotnie, wraz ze swym psem, na bagnisku. Wreszcie „Pamiętnik Sanockiego” albo spowiedź oportunisty, studium jego postawy obronnej oraz „Drugi pogrzeb” — melancholijna relacja z pochówku psa, wiernego przyjaciela człowieka.

Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa tak krótkiego streszczania, wszakże chciałem ukazać rozległość tematyki zbioru, jak i sposób podejrzenia autora do tematu. Jest to życiowe i pełne zrozumienia pochylenie się nad ludzkim losem, jego niespodziewanymi zakrętami i łamańcami, jest to próba widzenia człowieka z różnych stron, co z reguły prowadzi do jego usprawiedliwienia, nawet gdy pozory świadczą przeciw niemu.

*) Bogusław Kogut, „Opowieści znad Hoszczy”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1966, str. 236, cena 13,— zł.

Ludzie, idee, czasy

W swoisty sposób wiadomości, o nieodżałowanej śmierci nestora literatury polskiej Adama Grzymały-Siedleckiego zbiegła się z wydaniem staraniem Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego zbiorowej pracy „Adam Grzymała-Siedlecki — W 70-lecie pracy twórczej”. Wybitnemu twórcy dane było jeszcze w 91 roku życia oglądać ten tom, wyraz hołdu złożonego mu przez wybitnych przedstawicieli naszej kultury (Szaniawski, Zawieyski, Natanson, Parandowski, L. H. Morstin, Woycicki, Brahm, Warnecki, Wołoszynowski, Csaó, Eustachiewicz, Cwiklińska, Kreczmar, Korcelli, Grzegorzczak, Syga i inni) malujących nie tylko sylwetkę jubilat, ale również i aure, niepowtarzalny klimat owych lat bujnego rozkwitu polskiej sztuki. Obecnie książka ta staje się zarazem wyrazem hołdu składanego z wiekami kwiatów na trumnie zmarłego.

Wyjątkowy w swych bogactwach zespołach treściowych jest tom „Jeszcze raz przez życie” Włodzimierza Gajewskiego, dzisiaj profesora Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wspomnienia datują się od roku 1888, tułaczki dzieciństwo z rodzicami-aktorami, nauka na Uralu, lata akademickie w Galicji i początek nauczycielskiej kariery. W dwudziestolecie międzywojennym Gajewski jest dyrektorem liceum, a potem pełni w ministerstwie, zwłaszcza w okresie reform jędrzejowiczowskich, funkcję dyrektora departamentu, by wreszcie przenieść się na stolec kuratora w Krakowie. Pasjonujące są też opisy lat okupacji związane z tajną pracą oświatową. Wspomnienia pisane są żywo, z pasją, ale i z rozważą, w sumie stanowiący jeden z najciekawszych dokumentów malujących fragment dziejów szkolnictwa polskiego.

Za zastępę należy poczytać Wydawnictwo Literackiemu wydanie w trzypięciowej edycji „Wyboru Pism” dr. Antoniego J. Rolęgo, jednej z najbarwniejszych i najcenniejszych postaci piśmiennictwa polskiego XIX wieku, znakomitego piewcy południowych rubież dawnej Rzeczypospolitej, gawędziarza i dokumentalisty, którego teksty mają wartość dokumentu historycznego, a zarazem są doskonałą literaturą, wciągającą czytelnika bez reszty. Pierwsze dwa tomy

Wyboru to „gawędy historyczne”, ukazujące wiek XVIII i XIX Polska, to trzeci, to „Sylwetki literackie”, mieszczący szkice m. in. o Emirze Rzewuskim, Z. Kraśnickim i jego pierwszej miłości, z kolei o Beatrice-Delfinie Potockiej, o rodzinie Malczewskiego, o Maurycjusz Gostawskim. Pisane to z dużą maestrią, mimo upływu niemal stulecia od publikacji, zachowuje pełną świeżość i aktualność.

Imponujący erudycją, a zarazem lekkością jej przekazania jest nowy tom prac Stanisława Pigonia „Drzewie i wczoraj”, dotyczący zagadnień kultury i literatury. Autora interesuje zarówno romantyzm jak czas pozytywizmu, zajmuje się procesami literackimi, jak i z pasją snuje rozważania filologiczne, nie gardzi przyczynkami twórczymi, a o bok próbuje formułowanie całościowych syntez okresów czy zawartych w ich ramach jednostkowych zjawisk.

Inny typ pracy reprezentuje wielkie studium Stefana Morawskiego „Absolut i forma”, o egzystencjalistycznej estetyce Andre Malraux. Autor podejmuje tutaj krytykę poglądów Malraux dotyczących problemu twórczości artystycznej, wykazując na podstawie analizy prac francuskiego pisarza i myśliciela, związanych z pojęciami estetyki, pokrewieństwa jego z egzystencjalistyczną myślą naszych czasów.

Niezłomowany duet małżeński i artystyczny Ella i Andrzej Banachowie opublikowali nowy, przepięknie wydany tomik „Historia o Nikiforze”, znakomitą naszym malarzu naiwnym. Książka przedstawia dzieje dwudziestowiecznych kontaktów Banachów z Nikiforem, który obecną pozycję i rozgłos w skali już światowej w znacznej mierze zawdzięcza opiece i propagatorskiej działalności tej pary żarliwych entuzjastów sztuki.

Na zakończenie pragnęlibym już tylko zaanonsować ukazanie się drugiego tomu antologii, dokonanej przez Stefanę Skwarczyńską pt. „Teoria badań literackich za granicą”. Tom obecny zajmuje się kierunkami pozytywistycznymi, krytyką subiektywną i kierunkami postpozytywistycznymi.

Z KSIĄŻKA NA TY

LBJ i „zima niezadowolenia”

Art Buchwald, pisujący na łamach amerykańskiej prasy trochę na zasadzie „wariackich papierów”, jeden ze swych niedawnych felietonów poświęcił atmosferze, panującej w Białym Domu. Mówi się — oznajmił Buchwald — że jest to miejsce tylko dla potakiwaczy. Ale tezie tej zaprzeczył jeden z doradców Białego Domu, oświadczając:

— Wielu z nas mówi prezydentowi „nie”, a mimo to cieszymy się jego szacunkiem. Na przykład wczoraj prezydent zawiadzał mnie i spytał: — Czy sądzisz, że moja popularność spada tak szybko, jak na to wskazuje sondaż? Odpowiedziałem: — Nie, wcale tak nie myślę...

Gdyby krąg krytykujących działalność Johnsona ograniczał się do felietonistów, nie miałoby on powodów do niepokoju. Ale krąg ten jest znacznie szerszy. Lapidarnie aktualny stan rzeczy określił Joseph Alsop (styczeń br.): „Gdy się patrzy wstecz na minionie 12 miesięcy, jest zdumiewające, jak bardzo i jak szybko odmieniło się powódne nie prezydenta.” A waszyngtoński korespondent Reutera określił atmosferę pretensji politycznych, powstałą wokół Johnsona — „zimną niezadowoloność”.

W istocie Lyndon Baines Johnson krytykowany jest ostatnio przez polityków i publicystów z prawa i lewa, przez działaczy Partii Demokratycznej, z której ramienia sprawuje funkcję głowy państwa, ba, nawet przez swych poperowników na przydenckim fotelu. Latem 1966 Harry Truman ostrzegł LBJ przed następstwami podniesienia stopy procentowej do sześciu punktów (w ciągu 40 lat bankowość USA nie notowała tak wysokiej stopy). Giełda nowojorska zareagowała natychmiastowym niemal spadkiem notowań, a nieprzekonująca replika Johnsona na krytykę Truman, była łączona z dalszym spadkiem popularności aktualnego prezydenta.

Obserwatorzy polityczni, szukając przyczyn wyraźnego ostygnięcia projohnsonowskich nastrojów, sięgają do porównań. Amerykański komentator Ted Knap zestawiał wyniki ankiet — dotyczących popularności LBJ — ze stycznia 1966 i stycznia bieżącego roku. Otóż, gdy rok temu aktualnemu prezydentowi Stanów udzielało poparcia 67 procent zapytywanych, obecnie opowiedziało się za nim tylko 43 procent.

dy'ego, o tym, jak ten mit stworzono, na czym polega i komu służy. „Duch Kennedy'ego krąży po Białym Domu — pisze autor — i straszy Johnsona, który nie umie sobie poradzić z popularnością swojego poprzednika. Uczucie sympatii do Johna Kennedy'ego jest umiejętnie wykorzystywane przez jego rodzinę i kierowane przeciwko obecnemu prezydentowi, który znalazł się poza tym w opałach, ponieważ jego popularność i prestiż maleją z powodu błędnej polityki w Wietnamie, zaniedbania spraw krajowych itd.”

„Kultura” drukuje dalsze odpowiedzi uczonych, artystów i pisarzy na pytania redakcji, dotyczące roku 1966 w ich pracowniach; tym razem wypowiadają się: Jerzy Putrament i Jerzy Antczak. Poza tym w tymże tygodniku znajdujemy artykuł Józefa Okuniewskiego: „Syce i głodni u progu nowego wieku” oraz dwa ciekawe reportaże: — Janusza Głowackiego — ze Szwecji i kolejnej, Andrzej Brychta — z Niemiec Zachodnich. W „Polityce” Mirosław Chrzanowski w artykule „Lokator nasz pan?”, pisze o konfliktach na linii ADM — lokator, któremu nadal odmawia się wielu z jego praw. Krystian Brodacki drukuje w tym samym tygodniku ciekawy „Zebrać tryptyk”. Robert Jarocki zamieszcza w „Argumentach” szkice reporterskie — („Serce nie służy”), przedstawiający sylwetkę prof. dr. Wiktora Brossa, dyrektora Kliniki Chirurgicznej we Wrocławiu, który dokonał pierwszej w kraju operacji na otwartym sercu. „Fakty i Myśli” zapoczątkowują artykułem Lucjana Znicza „O obrzędowości laicką” dyskusję, poświęconą roli, znaczeniu, tradycjom oraz najszerzszemu rozpowszechnieniu nowych (bądź renowacji starych), obrzędów laickich. „Życie Gospodarcze” w cyklu „Czego szuka klient”, drukuje artykuł Antoniego Gutowskiego „W pogoni za... informacją”; autor stwierdza, iż pod względem informacji handel nasz jest wręcz prymitywny, skostniały, konserwatywny. „Tygodnik Demokratyczny” omawia szanse rozwoju małych miast po utworzeniu funduszu ich aktywizacji oraz funduszu miejskiego — artykuł Eugeniusza Janikowskiego „Dwa fundusze”. „Ziemia Kaliska” zachęca do udziału w przedłożonym do 28 bm. plebiscycie pod nazwą „Kaliszanie roku 1966”. Na zakończenie „Szczypta soli” ze „Szpilek”, które donoszą: „Podobno St. RN zamierza rozładować tło w tramwajach przez wyświetlanie w wagonach filmów polskich”.

W CIENIU KENNEDY'EGO

„Polityka” drukuje obszerny szkic Daniela Passenta o micie Kenne-

Ale udziałem LBJ stały się i inne kłopoty. Jeszcze przed rokiem miał on do czynienia z Kongresem, w którym reprezentanci Partii Demokratycznej dysponowali nad Republiką nami przewagą, wyrażającą się stonunkiem dwa do jednego. Aktualna sytuacja jest wyraźnie mniej korzystna: Partia Republikańska, w wyniku listopadowych wyborów, zwięk szyła kosztem Demokratów liczbę swych deputowanych w Izbie Reprezentantów o 47, a do senatu zdołała wprowadzić trzech swoich dodatkowych ludzi. W tym zmienionym na niekorzyść Demokratów układzie sił w Kongresie, prezydent w mniejszym niż dotychczas stopniu może liczyć na lojalność wielu reprezentantów swojej partii.

Zwraca się także uwagę na fakt, że Johnson przed rokiem energicznie opowiadał się za realizacją programu socjalnego tzw. „wielkiego społeczeństwa”, obecnie marginesowo i jakby bez przekonania powraca do tego problemu. Ubiegłoroczny slogan prezydenta: „stać nas i na armaty i na masło”, w świetle wzrastających wydatków związanych z wojną w Wietnamie, wydaje się nie sprawdzając.

Przed rokiem Johnson mógł też operować stosunkowo umiarkowanym rachunkiem polegającym (w 1965 r.) w Wietnamie Amerykanów; zginęło ich tam wówczas, według danych Pentagonu — 1365. Aktualne liczby są bardziej ponure; straty amerykańskie wyniosły w 1966 roku w Wietnamie ponad 5000 zabitych. Rok temu LBJ informował także swoje społeczeństwo, iż w Wietnamie przebywa niezbyt liczny korpus interwencyjny (181.000 ludzi); aktualnie siły zbrojne USA w Wietnamie są dwukrotnie większe (380.000).

Prezydent Stanów Zjednoczonych nie może też ostatnio mówić o sukcesach na froncie gospodarczym. Naj-

ogólniejszy miernik koniunktury amerykańskiej — wskaźnik kursów akcji, opadł w ciągu minionego roku z 969 do 786. Dalej: przed rokiem Johnson zredukował wysokość opłat telefonicznych i podatków samochodowych łącznie o miliard dolarów. Finansowe kłopoty rządu zmusiły go jednak już w trzy miesiące później do wycofania się z tego posunięcia. Lecz to nie wszystko: z początkiem 1967 prezydent poczuł się zmuszony zapowiedzieć sześcioprocentową podwyżkę podatku dochodowego, płaconego przez obywateli.

W ocenie francuskiej agencji AFP, polityczne tarapaty Johnsona wiążą się z brakiem perspektywy na rychłe „zwycięskie” zakończenie wojny w Wietnamie przez amerykańskie siły zbrojne, z kryzysem zaufania wywołanym wokół administracji prezydenta i z oporami wobec niego, narastającymi wewnątrz Partii Demokratycznej. Jeśli do tego się doda, iż Johnson — w przeciwieństwie do Johna Kennedy'ego — nie zwykł szerzej korzystać z opinii doradców, a ponadto prezydent znany jest z niechętnego stosunku do krytyki jego poczyniń — przyczyny spadku popularności LBJ ukazują się z całą wyrazistością.

Zamknijmy te rozważania konkluzją Waltera Lippmana („New York Herald Tribune” z 6 ubm.), pasującą jak ulał do atmosfery amerykańskiej „zimnej niezadowoloności”:

„... Carroll Kilpatrick twierdzi, że prezydent czuje się jak człowiek, który w wyniku przebiegu wydarzeń znalazł się w potrzasku. Czyjaż to jest wina? Czy jest to wina jego wrogów za granicą, jego oponentów w kraju, że po wspaniałych początkach i po triumfalnych wyborach znalazł się dzisiaj w takich kłopotach? Wina, drogi Brutusie... tkwi w nas samych”.

POMIĘDZY BITWAMI

Dokończenie ze str. 1

zylim, na furmankę i zwieźli prosto w gesty zagajnik. Tam, daleko dobiegać się do zamka; siekiera, młotek, majzel, wszystko na nic. Wtedy Bazyli wpadł na pomysł: trotyl, tylko trotyl. Za dwie butelki bimbru przehandlowali z saperami parę kostek, a potem był już tylko huk, potężny huk, który przetoczył się nad pozycjami batalionu i od razu poderwał wszystkich. Nawet sam generał, który akurat przejeżdżał drogą, zaczął zatrzymywać swoje wołilla, żeby się dowiedzieć, co tu za fajerwerki. Cudem udało się Maniusiowi wykręcić od karnej kompanii, a że kasa była pusta, zaprzysiął sobie, że koniec z chciwością.

Nawet nie zauważył jak tuż za nim stanął bąbysta Hieronim, który cieniem, łamiącym się głosem zaczął recytować fragmenty ze świętego Łukasza.

... który z was człowiek, co ma sto owiec, jeśliby jedną z nich zgubił, czy nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na puszczy, a nie idzie za tą, która zginęła, aż ją odnajdzie?...

— A pójdziesz ty, eunuchu zatrącony, akysz, akysz! — bronił się Maniek, ale niepowinnie i bez przekonania. Tłusty sekciarz nie wiadomo dlaczego właśnie na zblakłą duszyczkę Mańka zaglątał parol. Każdą sposobność wykorzystywał, żeby go przeciągnąć na swoją wiarę: recytował pismo święte, mówił o nadchodzącym końcu świata i o nadziei na zbawienie, którego dostąpią tylko wyznawcy jego sekty. A że religia zabraniała mu brać broń do ręki, tkwił stale przy kuchni, więc Maniek wolał go sobie nie zrażać, zwłaszcza teraz, gdy z żarciem było kruczo.

— Chodź za mną, opamiętaj się dobry człowiek z ciebie — kusił Hieronim nerwowo przełykając ślinę i mrużąc swe małeńkie oczki, zagubione jakby w ciastowatej twarzy. — Chodź, to ostatnie już chwile, razem odczytamy pismo święte, koniec świata nadchodzi szybko.

— Sam się zbawiaj, fanatyku zatrącony, bylebyś tylko zdążył przed końcem wojny, bo potem tłoczno będzie u Abrahama, jak u Niemców w burdelu... A byłeś ty kiedy w ogóle w burdelu?

JERZY KORCZAK

Przeglądamy Prasę

CZY LITERATURA MUSI PRZEGRACI

W artykule pod powyższym tytułem Włodzimierz Maciąg polemizuje na łamach „Życia Literackiego” z poglądami, według których wobec szybkiego rozwoju nauki, literatura traci swoje dotychczasowe miejsce; ma do wyboru: albo pełnić funkcję popularyzacyjno-propagandową, albo rozwinąć swoje pomysły formalne. Inaczej mówiąc, pisarze mają rzekomo coraz mniej do powiedzenia, bo wobec wizji nauki, ich wizje są bez znaczenia. Nie zgadzając się z takimi poglądami, Maciąg pisze: „Literatura ma nie tylko prawo, ale i obowiązek do stawiania pytań dylematycznych. Do naiwności, do stwierdzeń z głupia frant, do indagowania wszystkich o wszystko. Literatura chce bowiem wszystko sprawdzić na nowo w perspektywach humanistycznych. Pyta wciąż o człowieka i jego rolę — i nie ma dla niej przypadków, które na tę sprawę nie rzuciłyby światła. Nie odwołuje się do żadnych innych praw — poza życiem człowieka, poza rozwojem i bogactwem duchowym człowieka. Potrzeba sensu tego życia jest jej ostatecznym i niepodważalnym kryterium. A jest to potrzeba pozostająca poza obszarem zainteresowań ścisłotywnie traktowanej nauki. I dlatego literatura musi się wdzierać do wszystkich specjalistycznych gabinetów, aby zadawać swoje najwęższe pytania. (...) Pytania te niewiele mają wspólnego z zainteresowaniami specjalistów naukowych. Ale bez ich stawiania nauka, jako taka, straciłaby sens, bo przestałaby być komukolwiek potrzebna.”

IM BLIŻEJ WSPÓŁCZESNOŚCI — TYM MNIEJ...

Inne sprawy, także dotyczące m. in. literatury, podejmuje KTT w swoim cotygodniowym felietonie na łamach „Kultury”. Autor stwierdza, iż wiedza o naszym kraju, wiedza dostępna w książkach i przekazach, ma kształt piramidy zwężającej się

ku górze. Im bliżej współczesności — tym jej mniej.

„Rzetelna praca historyków nauczyła nas — pisze KTT — sporo o czasach Piastów i Jagiellonów, wiek Oświecenia i czasy Powstań Narodowych, są jednym z najlepiej chyba rozświetlonych przez historię okresów naszych dziejów. O Polsce międzywojennej wiemy już znacznie mniej, dopiero ostatnio właściwie zaczyna się o niej szerzej pisać i publikować materiały. Okupacja jest filmową przygodą. Nad pierwszym zaś dziesięcioleciem Polski Ludowej leży ciemność. Młodzieńcy, od których wymagamy dzisiaj postaw świątliwych i zaangażowanych, stają całkowicie bezradni wobec doświadczenia swoich ojców, a nawet starszych braci. Nie potrafią wyciągnąć zeń intelektualnych, a tym bardziej moralnych nauk dla siebie.”

Zdaniem KTT, bez literatury poruszającej wspomniane tu problemy „świadomość tych, którzy z racji wieku nie mogą pamiętać, będzie kulawa, a działania tych, którzy pamiętać nie chcą — bałamutne”.

DROGA DO TEATRU

„Głos Pracy” (nr 29) przynosi obszerną relację ze spotkania, zorganizowanego przez redakcję na temat problemów teatru. Wzięli w nim udział przedstawiciele teatrów, ludzie zajmujący się upowszechnianiem kultury, działacze klubów i domów kultury. Wraz z relacją — „Głos Pracy” publikuje kilka wniosków z tego spotkania.

M. in. Ministerstwo Kultury i Sztuki sygnalizuje zaniepokojenie środowisk artystycznych faktem niedostrzegania czy pozostawiania bez specjalnej opieki zespołów, zwłaszcza terenowych, które swoimi osiągnięciami zasługiwałyby na szczególnej uwadze; Ministerstwu Oświaty — niedostateczne dostrzeganie problemów kultury i sztuki w całym naszym systemie szkolnym już od szkoły podstawowej przez wszystkie szczeble, aż do wyższych szkół pedagogicznych; radom zakładowym i administracjom przedsiębiorstw, że troska o zaspokajanie potrzeb kulturalnych ludzi pracy oraz stwarzanie warunków do rozwijania zainteresowań dla sztuki jest obowiązkiem wcale nie mniejszym niż dopinanie do wykonywania zadań produkcyjnych.

„Polityka” drukuje obszerny szkic Daniela Passenta o micie Kenne-